



**CZERWONACKIE
LEGENDY**

Wydawca:

Stowarzyszenie Światowid

Redakcja:

Renata Laskowska - Gminna Biblioteka Publiczna w Czerwonaku

tel. 61 8120701

www.biblioteka.czerwonak.pl

gbp@biblioteka.czerwonak.pl

Ilustracje:

Natalia Gilicka

tel.691821728

n.gilicka@gmail.com

www.nadrewnie.com

Skład i druk:

Digital Art Studio Gala Przemysław

26-026 Bilcza, ul. Szkolna 40

tel./fax: 41 348 00 13

www.digitalartstudio.pl

Nakład: 1000 egz.

ISBN: 978-83-937397-4-5

Spis treści

Czarownice z Łysej Góry.....	5
Koziegłowy.....	7
Dlaczego na Dziewiczej Górze stoi wieża widokowa	8
Prawie jak u wieszczka	12
Las na Dziewiczej Górze	15
Legenda o Czerwonaku.....	16
Polka, co ukochała Niemca.....	18
Legenda Potaszy	19
Zapomniany zegar	22
O tym, jak pewna kobiecina przechytrzyła owińskiego diabła.....	23
Maruszka.....	26
Mieszko I i zbóje	27
Opowieść o Dębogórze	28
Opowieść o Owińskach i dębie Bartku.....	29
Skrzydlaty rycerz w Owińskach.....	31
Stary dąb w Owińskach.....	32
Baśń o Dziewiczej Górze.....	34

Słowo wstępne

Dzieje i dorobek dziedzictwa kulturowego regionu poznajemy dzięki licznym i różnorodnym źródłom historycznym oraz tradycji ustnej. Z niej wzięły początek podania i legendy. Każdy z nas pamięta, że pierwszy kontakt z rodzimą historią i literaturą miał właśnie dzięki legendom i podaniom, które opowiadali rodzice lub dziadkowie. To z pewnością jedna z form bliższego poznania dziejów swojego regionu.

W niniejszym wydawnictwie zebrano podania związane z różnymi miejscowościami gminy Czerwonak. Są to powszechnie znane, tradycyjne legendy regionu oraz nowo powstałe, które stanowią przegląd podań przekazywanych z pokolenia na pokolenie, dzięki rozmowom oraz zapiskom najstarszych mieszkańców, czasem wyrażanych również językiem poezji. Aby uatrakcyjnić odbiór zapisanych treści, wzbogaciliśmy je ilustracjami, które zobrazują zebrane w publikacji opowieści z dawnych czasów.

Życzymy ciekawego odbioru zawartych w tym zbioru utworów, w których wątki realistyczne splatają się z legendarnymi. Wszak legenda jest starszą siostrą historii...

Renata Laskowska
dyrektor Gminnej Biblioteki Publicznej
w Czerwonaku

Czarownice z Łysej Góry



Każdy z mieszkańców naszej gminy doskonale wie, gdzie znajduje się Łysa Góra. Cytując za Wikipedią: „Jest to wzgórze morenowe zlokalizowane na południowo-wschodnim skraju gminy Czerwonak, w Puszczy Zielonce, w niedużej odległości od Dziewiczej Góry. Wysokość 102 m n.p.m. Wierzchołek i stoki zachodnie pokryte zwartym lasem, pozostałe części to użytki rolne. Na zachodniej granicy lasu pojedyncze gospodarstwo rolne”.

Tak to wygląda dzisiaj. A jak było kilka wieków temu?

Nikt wtedy góry nie mierzył, ale wydawała się o wiele wyższa. Wierzchołek był goły – piasek i niezliczone kamienie. Stąd wzięła się nazwa Łysa Góra. Pojedyncze drzewa i krzewy porastały strome stoki góry. Rosły tu różne gatunki traw i dzikich zbóż, polnych kwiatów i ziół. Te ostatnie ogrzewane promieniami słońca, korzystając ze swobody, rosły w zadziwiającej ilości. Góra sprawiała wrażenie dzikiej i niedostępnej. Mało kto tu zaglądał. U jej podnóża stała chatka. Stara już była, dach przeciekał, ale opierała się wiatrom i burzom. Mieszkała w niej kobieta. Zielarka. Wiedzę o ziołach przejęła od swojej matki, a ta od swojej. Okoliczni mieszkańcy, mimo że często korzystali z jej ziół, mikstur, nalewek i maści wszelakiego rodzaju, nazywali ją wiedźmą i czarownicą. Podejrzewali ją o czary, a nawet o kontakty z diabłem. Bali się

jej, bo skoro umie leczyć, potrafi też pozbawić życia albo sprowadzić na delikwenta, który jej podpadł, chorobę. Kobieta żyła samotnie. Mijały lata pochłonięte pracą i walką o przetrwanie. Pewnego jesiennego dnia wiał silny wiatr i padał rzęsy deszcz. Ktoś zapukał do drzwi. Na progu chaty stała kobieta w podartej odzieży. Była cała przemoczona i do tego w zaawansowanej ciąży. Była bardzo chora. Zielarka nie dowiedziała się, kim chora jest i skąd przybywa. Pomimo troskliwej opieki, kobieta zmarła zaraz po porodzie, osierocając córeczkę.

Mijały lata. Dziewczyna wyrosła na bardzo piękną kobietę, która nie zdawała sobie sprawy ze swej niespotykanej urody. Przybrana matka już od kilku lat nie żyła. Zdążyła jednak przed śmiercią przekazać jej całą swoją wiedzę. Teraz dziewczyna sama musiała zająć się przyrządzaniem leków z ukochanych ziół. Pewnego dnia jeden z okolicznych dziedziców zablądził i przez przypadek trafił do chatki pięknej czarownicy. Uroda dziewczyny zachwycała młodzieńca, który znany był z tego, że lubił się zabawiać z pięknymi dziewczynami, a następnie porzucał je, kiedy się nimi znudził. Nieraz biedne, porzucone, często w ciąży, wybierały śmierć niż życie w hańbie.

Chłopak chciał od razu zabrać zielarkę ze sobą, ale ona ubłagała go, żeby pozwolił jej zostać w chacie jeszcze jedną noc. Tłumaczyła, że pragnie się spakować i pożegnać duchy przodków. Dziedzic, oblizując się jak kot na śmietankę, odjechał, obiecując powrócić rano. Kiedy tylko ucichły końskie kopyta, rozplakała się biedna dziewczyna. Wiedziała, że jeśli zgodzi się na propozycję dziedzica, czeka ją życie gorsze od śmierci – stanie się zabawką w rękach zepsutego młodzieńca. Jeśli odmówi, odrzucony i wściekły dziedzic oskarży ją o czary. A były to czasy, kiedy wystarczyło zwykłe pomówienie, a podobne do niej po długich i ciężkich torturach kończyły na stosach. Tak okrutnej śmierci zielarka pragnęła uniknąć. Pomodliła się na grobach swych dwóch matek. Obcięła swe piękne, długie, czarne włosy. Spakowała swój dobytek w niewielki węzełek i w przebraniu chłopca opuściła Łysą Górę – świat, jaki tylko знаła do tej pory. Nazajutrz, kiedy dziedzic odkrył, że dziewczyna uciekła, ze złości spalili chatkę i wszystko, czego zielarce nie udało się zabrać. Słuch po dziewczynie zaginął. Z czasem pamięć o dwóch żyjących samotnie „czarownicach” zaczęła blaknąć. Tylko Łysa Góra kryje w sobie tę i jeszcze inne tajemnice. Stoki góry pokrywają liczne drzewa i krzewy, ale i dzisiaj można tutaj znaleźć liczne zioła, którymi z wielką miłością zajmowały się, lecząc okoliczną ludność, „czarownice”.

Koziągłowy



Niewielu mieszkańców naszej gminy wie, skąd wzięła się nazwa tej miejscowości. Na ten temat krąży wiele opowieści i legend. Prawdopodobnie było to tak.

Przed wiekami liczne plemiona prowadziły koczowniczy tryb życia. Przenosiły się z miejsca na miejsce z całymi rodzinami i z całym swoim dobytkiem. Lata mijały, zanim poszczególne klany zaczęły osiedlać się w miejscach, które najbardziej odpowiadały im do życia. Ziemi nie kupowano. Ziemię należało zdobyć i utrzymać, to znaczy obronić przed innymi. Nasze plemię przywędrowało z daleka. Była to liczna gromada. Dużo młodych mężczyzn – zdolnych do walki, kobiet i dzieci. Do tego zwierzęta, które nauczyli się hodować. Prym w hodowli wiodły ukochane przez nich kozy. Nie znali jeszcze koni, tylko nieliczni widzieli w swoim życiu krowy, świnie według nich trudno było utrzymać – nie wytrzymały trudów ciągłych wędrówek. A kozy? Kozy – to było to! Dawaly nie tylko smaczne mleko. W tamtych czasach kobiety często umierały w trakcie porodu lub krótko po nim. Niejedno niemowlę przeżyło dzięki koziemu mleku. Do tego ciepłe skóry, z których można było zrobić posłanie lub uszyć ubrania. I to, co najważniejsze – w razie głodu smaczne mięso. Liczba kóz świadczyła o bogactwie poszczególnych członków plemienia. Kiedy w czasie wędrówki starszyzna zobaczyła żyzną glebę, liczne zielone pagórki, które swoim wyglądem przypominały głowy ukochanych kóz, postanowiła, że tutaj plemię osiadzie na stałe. Zajęli ziemię. Pobudowali swoje chaty. Przed każdą na wysokich tykach zawiesili kozią głowę. Był to ich totem. Miał chronić mieszkańców przed złymi duchami i czarami. Niestety, przez wiele lat plemię musiało stoczyć wiele walk z pojawiającymi się z różnych stron najeźdźcami. Ziemie były zadbane, obsiane, dzięki ciężkiej pracy przynosiły duże plony. Stanowiły więc nie lada kąsek dla innych. Udawało się przez całe lata wychodzić ze wszystkich walk i potyczek zwycięsko. Bywało też tak, że gromada wojowników sama atakowała inne plemiona i wracała z licznymi łupami.

Kozy jeszcze raz odwdzińczyły się za wielką miłość, jaką darzyli je mieszkańcy. W czasie powodzi, która nawiedziła te ziemie wieki temu, część z kóz, pasących się blisko wody, wpadła do niej. Głośnym meceniem dały znać swoim opiekunom o grożącym im niebezpieczeństwie. Dzięki temu udało się spakować cały dobytek i przenieść na miejsca położone wyżej. Nikt nie ucierpiał. Przez całe lata, kiedy z małej osady powstawała coraz większa wieś, wielu z jej mieszkańców nadal trzymało w swoich domostwach kozy. Przed wojną, w czasie wojny i całe lata po niej często były jedynym źródłem dobrego, zdrowego mleka. Hodowano je nie tylko w Koziegłowach, ale także w ościennych miejscowościach. Wtapiały się w tutejszy krajobraz. Przyjezdni często podziwiali stada kóz pasących się na okolicznych łąkach. I tak oto kozom nasza miejscowość zawdzięcza swoją nazwę.

Małgorzata Abramczyk

Dlaczego na Dziewiczej Górze stoi wieża widokowa



Działo się to w czasach, które wymykają się wszelkim datom, punktom, konkretnym godzinom, gdyż nikt nie lubi być posądzany o zbyt sędziwy wiek, nawet legendy. Dzień był szary i mglisty. Słońce nie próbowało nawet przeświecić mlecznej koldry, która skrzątnie nakryła całą okolicę. Mężczyzna szedł, wspierając się na kiju, ale zarówno kij, jak i mężczyzna, nie posiadali oczu, które potrafiłyby przebić się przez mgłę, tak więc co chwilę upadali – zawsze razem, chociaż nie zawsze synchronicznie.

Mężczyzna być może miał kiedyś jakieś imię, ale dawno o nim zapomniał, gdyż ciąga samotność i wędrówka sprawiły, iż nie miał go komu wyjawiać. Jedynym wiernym jego towarzyszem, do którego w przypływie nagłej tęsknoty za mową wypowiadał kilka słów, był ów kij – solidny, dębowy, z wyrzeźbioną w górnej części wieżyczką. Mężczyzna unikał ludzkich siedzib, a jeżeli kiedyś w lesie napotkał przypadkiem człowieka, zwinnie i bezszelestnie potrafił go ominąć. Dawniej, zanim stał się samotnym wędrowcem, lubił gwarne karczmy i duże ilości piany unoszące się na gładkiej powierzchni ciemnego piwa. Potem jednak jego wioskę nawiedziła zaraza. Ludzie umierali przed swoimi chatami, na polnych drogach, w kościołach, karczmach. Tylko on jeden, nie wiadomo dlaczego i w jaki sposób, został przy życiu. I kiedy tak usiadł na rozgrzanym słońcem kamieniu, w opustoszałej wiosce, pośród owej nieprzyjemnej woni, jaką mogła wypuścić z siebie tylko odchodząca zaraza, zrozumiał, że nigdy nie będzie potrafił rozmawiać z drugim człowiekiem, że już nigdy nie zazna spokoju. Chyba że zniknie, rozplynie się w szeleście drzew, w strugach deszczu, w szmerze, jaki wydaje z siebie ściółka leśna. Od tej pory wędruje od boru do boru, od puszczy do puszczy, nie potrafiąc ani się zatrzymać, ani podejść do ludzi. Bywa, że nic nie je przez kilka dni i żebra zaczynają odciskać się na jego skórze, jakby były patykami podtrzymującymi szkielet człowieka. Innym razem udane polowanie sprawia, że ma jadło dla kilku osób, a że może karmić tylko siebie, ubranie, które wcześniej na nim zwisało, staje się opięte. Być może dlatego, ci z ludzi, którym udało się podejrzeć go w lesie czy puszczy, mówili, że jest on wielki niczym niedźwiedź, innym razem, że tak samo chudy jak patyk, na którym się wspiera.

Tego dnia, kiedy mgła siadała na ramionach i dociskała ciało mężczyzny do ziemi, posłyszał on śpiew. Kobięcy głos przebijał się przez mleczną powłokę i docierał do uszu mężczyzny, wnikając w nie i łagodnie pieszcząc swoim czystym brzmieniem. W pierwszej chwili mężczyzna pomyślał, że to jakaś nimfa chce go otumanić, gdyż żadna kobieta nie byłaby w stanie wydać z siebie dźwięków tak pięknych, że niemal lśniących. Potem jednak potrząsnął głową, bo lata samotności nie odebrały mu jasnego sądu o rzeczach. Ba, być może nawet go pogłębiły. Tak więc wolno, ważąc każdy krok, wspinał się mężczyzna w górę, gdyż to ze szczytu, którego nie mógł ujrzeć, ale którego obecność przeczuwał, dobiegał śpiew.

Polana, którą ujrzał, sprawiała wrażenie niezdarnie nasuniętej na głowę czapki. O dziwo, nie było tu mgły, jakby jej palce bały się dosięgnąć szczytu góry, na którym siedziała ubrana na biało kobieta i śpiewała tak wzniosłe i pięknie, że przez dłuższy czas mężczyzna stał oszolomiony, zauroczony, nie wydając z siebie żadnego dźwięku i nie pamiętając o umowie zawartej z samym sobą, iż już nigdy więcej nie zbliży się do człowieka na odległość mniejszą niż pięćdziesiąt kroków.

Kobieta skończyła śpiewać i odwróciła głowę w stronę mężczyzny. Jej spojrzenie było tak samo czyste i błękitne jak pieśń, która wcześniej płynęła z jej ust.

– Czekałam na ciebie. Już od wielu lat czekam tu na ciebie... Powinnam była jednak

się domyślić, iż jeżeli przyjdiesz, to właśnie w ten dzień, kiedy chmury szurają brzuchami o ziemię.

– Wybacz mi pani, ale z kimś musiałaś mnie pomylić – odparł mężczyzna zardzewiałym głosem.

– Ależ skąd. Wiem dobrze, na kogo czekam, Wieżysławie – zaśmiała się tak przyjemnie, że i mężczyzna ułożył swoje usta w przyjazny rogalik.

– To moje imię? – powiedział bardziej, niż zapytał, bo nagle każda rzecz w jego życiu zaczynała mieć sens, gdyż nagle zaczął pojmować.

– Wiele to lat wędrujesz, uciekając przed swoim imieniem, jakby ono cię gonilo i chciało do czegoś przymusić. Czy teraz już wiesz?

Wieżysław kiwnął głową. Tak, teraz rozumiał już wszystko.

– A jakie jest Twoje imię, pani?

Kobieta uśmiechnęła się.

– Znasz mnie, Wieżysławie. Może zapomniałaś, ale pamięć ma to do siebie, że jest jak sekretarzyk. Czasami zapominasz kluczyka do jakiejś szufladki, co jednak nie oznacza, iż jest ona pusta.

Mężczyzna kiwnął głową i zaczął się rozglądać. Polana zdawała się mu teraz być trochę mniej rozległą, niż gdy na nią trafił. Dookolne drzewa wspinały się delikatnie na palce – małe choinkowe dzieci, które pragną być wyższe.

– To mój dom – wyszeptał i odwrócił głowę w stronę kobiety, ale tej już nie było. Zupełnie jakby odchodząca mgła zabrała ją ze sobą. Wieżysław zmarszczył brwi, bo nie nawykł do rzeczy tak niezwykłych, potem jednak zaczął sobie wszystko tłumaczyć tak racjonalnie i prosto, jak tylko potrafił, aż w końcu odetchnął z ulgą. – Gadam sam ze sobą – stwierdził. – Ale może to jest zwykła potrzeba, by się osiedlić. Kości mam coraz starsze i sił już nie tak wiele jak dawniej. Pora wpuścić korzenie w jedno miejsce, bo przecież tak będzie bezpiecznie, wiatr mnie nie przewróci, wichura nie porwie. I jak postanowił, tak zrobił. Jeszcze tego samego dnia zaczął budować szałas. A kiedy mgła zupełnie ustąpiła, ujrzał z wysokości Dziewiczej Góry, bo tak właśnie nazywało się wzniesienie, na które się dostał, widok na całą Puszczę i uradował się, że wokół jest tyle drzew, o które będzie mógł dbać.

Z biegiem czasu drzewa wokół polany coraz silniej wyciągały w górę swoje szczupłe, zielone ramiona. Żeby więc nie stracić widoku na las, mężczyzna zaczął budować wieżę. I śmiał się w duchu, że Wieżysław wieżę buduje, jakby ze zwykłej gry słów wyniknęło to realne znaczenie. Drzewa rosły coraz wyżej i wyżej, aż w końcu stały się tak wielkie, że ci, którzy mają lęk wysokości, nie byłiby już władni wspiąć się na nie bez panicznego strachu. Tylko Wieżysław nie przejmował się tym wcale, gdyż wieża, którą budował, sterczała ponad czubkami sosen i świerków niczym królowa z dumnie uniesioną głową.

Pewnego dnia mgła ponownie zawitała na polanie. Tym razem jednak była napastliwa, kłująca i drażniąca. Wieżysław, który był już wówczas bardzo stary,

starszy niż niejedno drzewo, które dorastało pod jego okiem, od razu przypomniał sobie tę inną mgłę, która go tu sprowadziła. Przypomniał sobie, porównał i wyszło mu, że oto przed nim wcale nie ma mgły, a zwykły, potężny dym. Wdrapał się więc na swoją wieżę i zatrwożył bardzo, gdyż na horyzoncie, poniżej Dziewiczej Góry, ujrzał ogień. Czerwone jęzory lizaly las, ale nie były to pieszczotliwe pocałunki psiej wierności, a zdradzieckie, niszczycielskie czułości, które przewracały drzewa i pożerały wszystko, co znalazło się w ich zasięgu.

Ludzie powiadają, że zbudził ich krzyk. Tak doniosły i silny, iż dachy domów się zatrzęsły. Inni z kolei wspominają dziwne szepty, które weszły do ich snów i kazały im się obudzić. W każdym razie wszyscy, którzy mieszkali w wioskach sąsiadujących z Puszczą, obudzili się i wyszli przed swoje domy. Ci, którzy mogli dostrzec Dziewiczą Górę, ujrzeli palącą się na niej wieżę. Uderzyli więc w dzwony i ruszyli z wiadrami wody na ratunek. Jak za dawnych czasów podawano sobie wiadra z rąk do rąk i gaszono pożar. I czy to odwaga mieszkańców Czerwonaka, Janikowa oraz Miękowa sprawiła, że pożar został opanowany, czy też pomoc strażaków, którzy przybyli pod Dziewiczą Górę i, nie zważając na gryzący dym, kroczyli na przód, zostawiając za sobą mokre od wody drzewa, trudno ocenić. Wiadomo jednak, że ogień nie przedostał się do wiosek i nie pochłonął domów, chociaż pozostawił wielkie spustoszenie, czarną ranę, która nieprędko miała się zagoić.

A cóż stało się z Wieżysławem? Z ust do ust jak plotka, która bywa bardzo płochliwa i lubi kpić sobie z prawdy, podawane są wiadomości o tym, że uciekł jeszcze, zanim zaczęło się palić. Temu jednak wiary nie należy dawać, gdyż ludzkie języki czasami trawią tak samo brutalnie jak ogień. Strażacy, którzy pierwsi przybyli na polanę, szepotali między sobą, że widzieli jeszcze resztki wieży, która pochylała się ku ziemi, zupełnie jak stary człowiek, aż w końcu upadła i skończyła. Ponoć na jej szczycie widać było cień człowieka, który na krańcu swego życia stał się tym, co budował. Inni twierdzili, że z mężczyzną była kobieta, ubrana w świetliste szaty niczym Matka Boska. Co do jednego większość mieszkańców Puszczy jest zgodna – gdyby Wieżysław w porę ich nie zaalarmował, gdyby swoim głosem, który nagle stał się tak doniosły niczym najpotężniejszy dzwon, nie zbudził ludzi, gdyby w cudowny sposób nie powychodził do ich snów, nikt by nie zwrócił uwagi na pożar szalejący u stóp Dziewiczej Góry i kto wie, czy cały las doszczętnie by wówczas nie spłonął.

Jak tylko przyroda zaczęła się dźwigać po pożarze i otrząpywać z resztek pyłu, ludzie zaczęli odbudowywać wieżę. Tym razem jednak już nie drewnianą, a solidną, betonową, którą ujrzyć można z odległości wielu kilometrów, jak wystawia swoją głowę ponad czubki drzew i rozgląda się, pilnując bacznie, jak niegdyś Wieżysław, Puszczy.

Natalia Gilicka

Prawie jak u wieszczka



Był pewien chłopiec piękny i młody,
była też śliczna dziewczyna.
Żyli w krainie, gdzie swoje wody
Warta w zakolach wygina.

Ona mu w oczy patrzyła z wiarą,
on chciał ją nosić na rękach,
lecz miłość dwojga to jest zbyt mało,
gdy w boskich planach jest męka.

Bo złe to czasy na miłowanie,
Polska w okrutnej niewoli.
Niemiec – zaborca przejmuje władzę,
a brak wolności tak boli...

Dziewczyna mieszka w młynie nad Wartą,
Marcelka – córka młynarza.
A on jest Niemcem. Ona go kocha?!
Tak przecież w życiu się zdarza.

Młodzi, co wieczór w tej samej porze,
biegną na dróg rozstaje.
Pod starą gruszą schronić się może
ta czułość, która powstaje.

Gdy się spotkają, to szepczą słowa
pełne miłosnych uniesień.
Ona mu rękę oddać gotowa
i ślub planują na wrzesień.

Ojciec Marcelki dać zgody nie chce:
„Ten ślub się odbyć nie może.
Gdy go poślubisz, to precz mi z domu.
Nocować możesz na dworze”.

Młodzi w miłości mają strapienie,
bo wszyscy patrzą nań srogo.
Nie mogą liczyć na zrozumienie,
ludzie traktują ich wrogo.

Obcy wśród Niemców i wśród Polaków –
wyklęci są z każdej nacji.
Darmo szukają przyjaznych znaków,
nikt nie rozumie ich racji.

Marcel do wojska dostał wezwanie,
do pruskiej armii go wzięli.
Marsze, rozkazy, musztra, strzelanie –
w koszarach chłopca zamknęli.

Pierwszą przepustkę dostał po roku,
wrócił do wioski nad Wartą.
Szukał dziewczyny i wielkim szoku
usłyszał, że „Już jest martwą.”

Poszedł więc Marcel w miejsce spotkania,
tam, gdzie mogiłka była.
Wtem coś przerwało mu rozmyślenia –
Marcelka się objawiła.

„Leżę w mogile na dróg rozstaju,
na uroczysku Maruszka.
Tam, gdzie się drogi dwie spotykają,
gdzie szumi prastara gruszka.

Tyś mi obiecał być mężem moim,
jam tobie wierna była.

Miałeś mnie kochać, w uczuciu twoim
ogromna miała tkwić siła.

Lecz ani listu, lecz ani słowa –
przez rok najmniejszej wieści.
Tak wyjechałeś... tak zapomniałeś...
W głowie się to nie mieści.

Ludzie szydzili i wytykali,
śmiała się wioska cała:
Patrzcie, zdracznyni! Ta, co ze Szwabem
w Dąbrówce ślubować chciała.

Ojciec w niełasce wygnal mnie z domu,
bo ja innego nie chciałam.
Nie dałam swojej ręki nikomu,
bo tobie ją obiecałam.

Pod naszą gruszą ciągle czekałam
na ciebie albo na wieści.
O tobie śniłam... w dziupli mieszkałam,
w gruszy mój świat się mieścił.

Lecz zima sroga zdrowie zabrała,
a ja już żyć nie mam siły.
Tyś mnie zapomniał... nic nie zostało,
żegnaj mi więc mój miły”.

„Jakże to? Miła! Co dzień pisałem,
codziennie list ruszał w drogę.
Ojca o zgodę na ślub błagałem,
bo żyć bez ciebie nie mogę.

On mi napisał, że masz innego,
że nie chcesz Niemca za męża.
Nie uwierzyłem, dalej pisałem,
licząc, że miłość zwycięży.

A ty tu w grobie, w zimnej mogile,
sama przy leśnej drodze...
Już nie opuszczę... nawet na chwilę,
i zawsze będę przy tobie”.

Chwycił młodzieniec w dłoń pistolety,
oddal śmiertelny strzał.
I na mogile swej ukochanej
ostatnie tchnienie dał.

Jest w Wielkopolsce mała Werona,
gdzie dwie kochanków mogiły.
Julia – Marcelka, Marcel – Romeo,
jego najdroższa, jej miły.

Dwa groby w lesie, na Uroczysku,
a kiedy wieczór zapada,
para kochanków Marcel z Marcelką
w świetle księżycy zasiada.

„Ona mu z dzbanka daje maliny,
a on jej kwiatki do wianka...”

Dorota Garczarek
(wykorzystano cytaty z A. Mickiewicza)

Las na Dziewiczej Górze



Jak powszechnie wiadomo, nazwa „Dziewicza Góra” najpierw była „Dziewczą Górą”, która pochodzi od sióstr zakonnych, cysterek, którym w 1242 roku książę Przemysław I nadał ziemię. Tak podają kroniki historyczne.

A jak było naprawdę? Może te fakty mają drugie dno? A jeśli „cysterki” nie były zakonnice, a driadami? Nimfami leśnymi, które przybierały postać drzewa,

by chronić lub strzec czegoś ważnego? Tak ważnego, jak przejście do Wielkiego Królestwa, w którym żyły wszystkie driady.

Mogło być tak, że driady, duszki drzew, za dnia udawały siostry zakonne, lecz pod postacią nocy ukazywały swe prawdziwe oblicze, strzegąc drzwi do Królestwa. Jako „służebnic Bożych” przecież nikt by ich nie podejrzewał, iż są mistycznymi istotami, w które nie wierzy większość ludzi, jeśli nie wszyscy. Mogły więc w spokoju wypełniać swoje zadanie.

Kiedy w końcu Wielkie Królestwo przestało być uznawane za zagrożone, a ludzie za złych, zamknięto przejście, a driady już na zawsze przyjęły postaci drzew, by strzec przejścia już na wieki. Tak na wszelki wypadek.

Szanuj więc każde drzewo, bo nie wiadomo, czy nie było kiedyś driadą.

Wiktoria Frąckowiak

Legenda o Czerwonaku



W czasach, gdy magia była na porządku dziennym, a światem rządili królowie, w samym środku Europy, nad brzegiem rzeki zwanej Wartą, w pięknej leśnej krainie na polowanie na dziką zwierzynę udali się zadni królowie i najdzielniejsi rycerze. Tego dnia w dzikiej puszczy po raz pierwszy brał udział w polowaniu rycerz o imieniu Gotfryd. Ponieważ wołał

on podziwiać piękno przyrody, niż polować na zwierzęta, podczas pogoni za zwierzyną odłączył się od towarzyszy i zgubił się w lesie. Długo usiłował odnaleźć kompanów, aż w końcu zmęczony poszukiwaniami zasnął w trawie. Śniły mu się przeróżne rzeczy, a obudził go dziwny dźwięk, przypominający łopot skrzydeł. Gotfryd otworzył oczy i wśród zielonych koron drzew ujrzał latające czerwone stworzenie, majestatyczne i dostojne.

Nigdy wcześniej nie widział tak pięknego zwierzęcia. W pierwszej chwili chwycił za miecz, gotów bronić się w obliczu zagrożenia, lecz zaraz zrozumiał, że piękny ptak nie ma zamiaru go atakować. Gotfryd przypomniał sobie, że widywał takie stworzenia na dworze u swego króla, na rysunkach podróżników powracających z dalekich wypraw. Te piękne czerwone ptaki nazywali oni flamingami czerwonakami. Zdumiony Gotfryd usiadł na polanie i schował miecz, a flaming, widząc, że rycerz jest spokojny, machnął skrzydłem, dając mu do zrozumienia, by podążył on za nim.

Z początku nieufnie szedł Gotfryd za lecącym ptakiem, przedzierając się przez gęsty, mroczny las, aż w oddali między drzewami ujrzał wysoką wieżę. Był to niesamowity widok: w wysokiej na dwadzieścia pięter, stojącej na górze wieży nie było schodów. Gdy rycerz podszedł bliżej, zorientował się, że wieża jest zaczarowana, nie miała bowiem żadnego wejścia. Nagle jego oczom w jedynym oknie wieży ukazała się piękna dziewczyna, śpiewająca smutną pieśń. Gotfryd okrążył wieżę kilka razy i zrezygnowany usiadł na polanie, nie mając pomysłu, jak wydostać z niej dziewczynę.

W jednej chwili, nie wiadomo skąd, pojawił się jego przewodnik – flaming i przemówił:

– Zacny rycerzu, nie ty pierwszy tu dotarłeś, nie ty jedyny chciałeś uwolnić piękną śpiewaczkę. Wielu mężnych i dzielnych rycerzy przed tobą próbowało wydostać z wieży dziewczynę. Nikomu się to nie udało. Przepowiednia głosi, że rycerz o czystym sercu, który kocha przyrodę i żyje z nią w zgodzie, nie zakłócając życia w świecie roślin i zwierząt, uwolni piękną niewiastę, która zostanie jego żoną, a razem założą osadę nieopodal magicznego lasu...Uznałem, że ty jesteś właściwym człowiekiem i postanowiłem ci pomóc.

Po czym rozłożył ptak swoje potężne skrzydła i na swym grzbiecie zaniósł Gotfryda na sam szczyt wieży, a gdy rycerz stanął na niej – czar prysnął. Uwolnił Gotfryd piękną dziewczynę, a ona zgodziła się zostać jego żoną. Aby spełniły się słowa przepowiedni, Gotfryd z żoną założyli osadę, którą na cześć czerwonego flaminga nazwali Czerwonakiem. Piękne i gęste lasy wokół osady otrzymały nazwę Puszcza Zielonka, a góra, na której stała zaczarowana wieża, nazwana została Dziewiczą Górą. W krainie tej, słynącej z pięknej przyrody, ludzie nigdy nie zaznali gniewu i nieszczęść. Jedyny spór, jaki trwa, dotyczy prawdziwości tej legendy. Po dziś dzień pojawiają się w czerwonackiej krainie posągi flamingów, na pamiątkę dawnego zdarzenia.

Zuzanna Walaszczyk

Polka, co ukochała Niemca...



W owińskowym parku, pośród starych grabów, wiązów i klonów, nad brzegiem stawu z fontanną stoi, piękny w swej prostocie pałac (zbudowany wg projektu Schinkla i Catela). Przez mieszkańców nazywany jest po prostu „pałacem”, bardziej wtajemniczonym kojarzy się z niemieckim nazwiskiem von Treskow.

Jak przystało na miejsce takowe, ma ono dobrą, energetyczną moc i... zapewne wiele osobliwych, acz ciekawych historii. Jedną z nich jest historia Polki, co ukochała Niemca. A było to tak...

Polka Józefina z domu Koperska, córka dzierżawcy z Łagiewnik (majątku sąsiadującego z Chludowem), bardzo wcześnie została sierotą. Powierzono ją opiece Niemca Ottona Zygmunta von Treskowa (najstarszego syna właściciela rozległego majątku, liczącego wiele podpoznańskich wsi). Józefina wychowywała się w zakonie cysterek w Owińskach.

Otton zakochał się w pięknej Polce, a wybranka odwzajemniła tę miłość. Długo ukrywali przed światem to najpiękniejsze, nie wszystkim dane przeżyć uczucie. Otton, po ukończeniu przez Józefinę nauki u cysterek, wysłał ją w celu dalszego kształcenia na pensję do Szwajcarii. Tam zgłębiała tajniki wiedzy i szlifowała ogładę. I tak w tajemnicy rozkwitała miłość przeznaczonym sobie ludziom.

Dopiero w wieku 41 lat Otton przyznał się swojej rodzinie do miłości ku polskiej dziewczynie. Niestety, zakochani nie zostali życzliwie przyjęci przez członków rodziny von Treskow, która zarzuciła dziewczynie brak koneksji oraz majątku. Nalegano, aby Józefina przeszła na protestantyzm, a jej polskie imię zmieniono na niemieckie Josephine. Polka została odrzucona przez wszystkie niemieckie szwagierki, a pikanterii w skandalu rodzinnym dodało urodzenie się pierwszego syna jeszcze przed ślubem kościelnym.

Jednak, mimo tak wielu nieprzychylności, miłość Józefiny i Ottona – Polki i Niemca – pokazała, że jest tą prawdziwą; jedyną i że wszystko zwycięży! Małżonkowie żyli, prawie jak to w bajkach, długo i szczęśliwie, dorabiając się sześciorga dzieci. W owińskowym pałacu, mimo

jego piękna, nie czuli się szczęśliwie z powodu ostracyzmu i niechęci niemieckiej rodziny. Pałac całymi miesiącami stał pusty, a szczęśliwi małżonkowie mieszkali w karkonoskim majątku Ottona w Sadach Dolnych (Nieder-Baumgarten) albo we dworze w Chłudowie. Józefina powróciła w końcu do Owińsk (po śmierci męża w 1855 r.) i mieszkała we wdomim pałacu (przebudowanym domu zarządcy) aż do swojej śmierci (w 1897 r.).

Józefina von Treskow z domu Koperska – Polka, co ukochała Niemca – wychowała swoje dzieci w duchu niemieckim, jednak z szacunkiem dla kultury i języka Polaków. W czasie trwania jej jakże szczęśliwego małżeństwa Polakom, tym biednym i ciemnym, żyło się lepiej. Jej mąż Otton Zygmunt von Treskow deklarował zaś publicznie (na łamach gazety „Posener Zeitung”) swoją przychylność do niezależności rdzennych mieszkańców polskiej ziemi, krytykował Hakatę oraz agresję niemieckich działań w Polsce.

Barbara Staszak

Materiał źródłowy: Rüdiger von Treskow „Pałac w Owińskach k/Poznańa”

Legenda Potaszy



Zdawałoby się, że każda legenda zaczyna się od słów „dawno temu” tudzież „pewnego razu”. Tymczasem historia, którą zamierzam Wam opowiedzieć, nie ma swojego początku, tak samo jak nie ma go kij czy sznurowadło. Wszystko bowiem, co się wydarzyło, mogłoby się wydarzyć jeszcze raz, ale w zupełnie innej kolejności. Na dodatek nie ma pewności, czy przytoczona historia już się zakończyła, czy może trwa dalej, zawieszona w jakimś innoczasie, wciąż spełniająca się od nowa.

Jeżeli jednak próbować się uprzeć i poszukać jakiegoś początku, z pewnością stanowiłby go obraz pewnej kobiety, która kiedyś postanowiła pomodlić się do dębu, a ten w podzięce rozpadł się na dwie części, rażony piorunem. Niektórzy mogliby sądzić, że kobiecina była zatem czarownicą i sprowadziła swoimi błaganiami diabła. Nic bardziej mylnego. Poczciwina po prostu wyszła nie w porę ze swojej chaty, a że nadeszła burza, hucząca, potężna, z błyskawicami tak straszными, jakby to stado smoków lizalo niebo, tworząc na nim złowieszcze, ogniste konstelacje, zaczęła, co zrozumiałe w zaistniałych okolicznościach, wznosić bardzo żarliwe i pełne westchnień modły. I wówczas potężny i solidny dąb, pod którym zatrzymała się, ludząc się, iż jego szerokie konary niczym ramiona dobrego Anioła Stróża roztoczą nad nią pieczę, przelamał się na pół.

Kobieta uklękła obok drzewa i poczuła, że napływający zapach palonego drewna rozplywa się nie tylko w powietrzu, ale i miękko rozpościera się w jej wnętrzu. Wyciągnęła pokrytą siateczką zmarszczek dłoń i zanurzyła ją w popiele. Gorąco nie mogło uczynić jej niczego złego, gdyż już jako dziecko wpadła w czasie nocy świętojańskiej do ogniska i od tego czasu jej skóra stała się twarda niczym gliniane naczynie, a kobieta wciąż przesiadywała w pobliżu ognia, nigdy już nie mogąc zaznać słodczy gorąca. Tego dnia również nie poczuła, jak popiół wpija się jadownicę w jej ręce, chcąc pokryć je pęcherzami (co jednak nie mogło mu się udać), wdychała jedynie tę woń wspaniałą, pyszną, niemal piernikową i zastanawiała się, dlaczego dopiero teraz, kiedy życie jej chyliło się ku końcowi, niczym żywot starej jabłoni, której spróchniały pień wyżerały korniki, drążąc w nim coraz większe i coraz bardziej bezczelnie długie korytarze, dlaczego dopiero teraz dane jej było zrozumieć, że celem jej życia nie było wcale doglądanie gospodarstwa i opieka, wpierr nad swoimi dziećmi, a potem nad dziećmi swoich dzieci, lecz stworzenie czegoś, co sprawi, że ludzie zaczną być szczęśliwi. A przynajmniej zadowoleni.

Ponieważ jednak nie czuła, by śmierć miała nadejść w danej chwili, westchnęła jedynie ciężko, tak samo jak wzdychała jej matka i babka, gdyż było rodzinną tradycją pokazać światu, że lekko być nie może, skoro trzeba tyle zrobić, a ręce są tylko dwie, podciągnęła grubą spódnicę i wspanała do niej tyle popiołu, ile zdolna była udźwignąć...

Czy burza zakończyła swoje potrząsanie lasem, kiedy kobieta zaczęła wracać do domu, czy trochę później, trudno powiedzieć. Z pewnością jednak nadeszła noc, a wraz z nią ciemność tak gęsta jak smoła pokryła cały świat, kradnąc nie tylko jego kolory, ale i kształty oraz kontury. Nie było więc łatwo trafić do domu. Nie sposób było odnaleźć właściwą drogę. Błądziła więc kobiecina pośród czerni, myśląc prawą stroną z lewą, aż w końcu jej nogi podpowiedziały jej, że zaczęła się wspinać w górę.

Świt zaczął przecierać swoje zaproszone oczy, kiedy dotarła na szczyt Dziewiczej Góry. Stamtąd mogłaby dostrzec w oddali swój dom, a gdyby miała oczy silniejsze niżli sokół, kto wie, może i by wypatrzyła powalony dąb, który wciąż lekko się tlił, jakby wiedział, że nie wolno mu się tak szybko wypalić, gdyż potasz nie będzie wówczas tak aromatyczna i wonna.

Kiedy cysterki (hodujące w tych okolicach na zielonych, wiotkich gałązkach, czerwca polskiego, owada, z którego później piękny czerwony barwnik pozyskiwały) przyszły o poranku na Dziewiczą Górę, by sprawdzić dojrzałość owadów, zdumiały się, widząc pośrodku poletka staruszkę, która siedziała z nogami szeroko rozstawionymi, kiwając głową to w przód, to znowu w tył.

– Czy potrzebuje pani pomocy? – zapytała młoda mniszka, uśmiechając się skromnie, jakby nawet uśmiech winien być delikatny i subtelny, bo wszystko, co przesadne i szerokie, mogło w jej przekonaniu obrazić Pana Boga.

– A tak, dobra duszyczko, tak, tak, pomoc byłaby potrzebna – odparła kobiecina i uśmiechnęła się szeroko, bardzo szeroko, aż widać było puste miejsca po tylnych zębach. – Ale czy umiesz gotować? – dodała po chwili już zupełnie poważnie, przewiercając cysterkę swoimi zielonymi oczyma.

– Ja jestem ogrodniczką, ale w klasztorze jest wiele sióstr, które zajmują się pracami kuchennymi.

– Dobrze im to wychodzi?

– Kiedy siostra Klarysa gotuje zupy, to jakby niebo zeszło na ziemię i dotknęło podniebienia.

– A umie ona piec pierniki? – dopytywała dalej kobiecina.

– Pierniki? – zdumiała się mniszka, gdyż kojarzyły się jej one jedynie z Bożym Narodzeniem.

– Tak. Pierniki.

– Pewnie by potrafiła – odparła bez większego przekonania.

– Więc mnie do niej zaprowadź, bo już wiem, co zrobić, by piernik rozplywał się w ustach aromatem tak intensywnym i smacznym, że mu się oprzeć nie będzie żadnego sposobu.

– Och – powiedziała tylko mniszka, myśląc, że kobiecina przesadza. Potem jednak to „och” wydobyło się z jej ust, gdy pierwsze pierniki wyszły z pieca. To samo „och”, mnożąc się niczym odbite echem, krążyło później po całym zakonie cysterek, gdyż kobiecina miała rację. Dodanie potaszu do pierników sprawiło, że stały się one tak smakowite, że niejedna mniszka musiała się potem spowiadać ze swego łakomstwa.

W miejscu, gdzie dąb upadł powalony piorunem, ludzie zaczęli zakładać domostwa, wkrótce więc powstała wioska, której nazwa, jakże by inaczej, zaczęła swoje korzenie w piernikowym składniku, który to jej mieszkańcy wyrabiali ochoczo i dostarczali do klasztoru. A że, jak wspomniałam na początku, historia ta nie ma swojego zakończenia, gdyż i jej początek rozplywa się mgliście w czasie, którego nie sposób ująć datą, wioska Potasze istnieje po dziś dzień, a jej mieszkańcy, sami nie wiedząc dlaczego, gdyż potaszu już nikt z nich nie wyrabia, a cysterek już od dawna w Owińskich nie ma, każdej nocy śnią o aromatycznych piernikach. W nocy zaś nad wsią, co niejednen widział na własne oczy, w miejscu, gdzie dawniej stał dąb, unosi się stróżka dymu...

Natalia Gilicka

Zapomniany zegar



Pewien monarcha przywiózł z podróży zegar słoneczny i kazał go zamontować na wieży kościoła w Owińskach. Niestety na początku mieszkańcy nie potrafili odczytywać godzin i postanowili nauczyć się dzielić dzień w inny sposób. Z radością i dumą patrzyli na zegar i odmierzali sobie czas. Dzięki niemu stali się porządniejsi i bardziej punktualni, można było polegać na ich słowie. W efekcie w ciągu kilku lat zasłużyli sobie na szacunek i dobrobyt.

W Wielkim Tygodniu roku 1720, ze środy na czwartek, po północy, wybuchł wielki pożar w kościele owińskowym i przeniósł się do klasztoru, niszcząc wiele dóbr. Ogień zniszczył między innymi zegar, który znajdował się na dzwonnicy wieży i przez wiele lat pokazywał czas we wsi, wybijając godziny we dnie i w nocy. Niektórzy mieszkańcy znowu zaczęli być niepunktualni i mało dokładni.

Na polecenie Kasztelana Biechowskiego zniszczony ogniem zegar został odwieziony do Lwówka. Ślusarz, znajdujący się na zegarach, podjął się jego naprawy. Dorobił nowe koła i sprężyny, obiecał gruntownie przejrzeć wszystko i dawał roczną gwarancję, z której wynikało, że klasztor zgodził się zapłacić 150 zł szelągami w ratach. W maju 1721 roku cierpliwość kasztelana się skończyła i ślusarz dostał polecenie ustawić zegar na swoim miejscu, a wtedy otrzymał resztę sumy według umowy. Kontakt jednak się urwał, a ślusarz z zegarem przepadł.

Na wieży kościoła pozostało puste miejsce i resztki mechanizmu po zegarze. Z nieznanых przyczyn zaniechano odbudowy i ustawienia zegara na swoim miejscu. Bardzo dużo czasu upłynęło, zanim w roku 2014 na dzwonnicy kościoła zegar pojawił się na swoim miejscu. Legenda głosi, że kiedy zegar na wieży zaczyna rażno wybijać godziny, w naród wstępuje nowy, lepszy duch, a mieszkańcom żyje się lepiej.

Renata Laskowska

O tym, jak pewna kobiecina przechytrzyła owińskiego diabła



Uszy ludzkie bywają łakome, czasami dlatego, że są po prostu głodne, czasami z wygody czy też przyzwyczajenia. Najważniejsze, że wszystkie, niezależnie od tego, czy przynależą do człowieka wysokiego czy niskiego, młodego czy starego, uwielbiają słuchać. Bywa, że to, co do nich wpadnie, zostaje połknięte w całości, innym razem z kolei rozdrobnione na tak niewielkie cząstki, iż nie sposób byłoby złożyć zjedzonych historii w całość. Nasza opowieść zaczyna się właśnie od uszu – bardzo wścibskich, dość zgrabnych, ale niezbyt gorliwych w słuchaniu.

Podeszła pod bramę kościoła i zsunęła chustę z głowy. Chyląc się ku ziemi słońce położyło swoją dłoń na jej kasztanowych włosach, tak że przez chwilę zdawały się one płonąć – może ze wstydu, może z jakiegoś dziwnego rozgorączkowania. I kiedy ręka kobiety szykowała się, by uczynić znak krzyża, jej uszy wychwyciły za sobą delikatny szelest, ciche skrobanie, zakradanie się zwierzęcia większego od kota. Na placu jednak nie było nikogo, nawet pies, którego mijają przed bramą, gdzie sobie poszedł i tylko odciski małych łapek połyskiwały w śniegu.

Pokręciła głową, westchnęła i sięgnęła ręką czoła. I wówczas szelest wzmógł się jeszcze bardziej. Podskoczyła zatrwożona, gdyż lęk ma to do siebie, iż lubi ludzi w pięty podgryzać, a potem ruszyła w drogę powrotną, przekonana, że jakiś czart wzbrania jej wejścia do kościoła. A że grzechów miała tak samo dużo, co warstw ubrań, wolała ze Złym nie zadzierać i pójść się wyspowiadać za dnia. – Może i to nawet lepiej, bo przez noc gorliwiej przemyślę swoje grzechy – mruknęła, wchodząc do chalupy. Sumienie jednak kołatało w niej i smutniało, gdyż nie był to pierwszy raz, kiedy zawróciła ze swojej drogi.

Rankiem ubrała się szybko, zjadła skromny posiłek, a potem popędziła w stronę kościoła św. Mikołaja. I pewnie by doszła do niego, gdyby nie spotkała sąsiadki, która ją wypytywać ją o to i owo, jak to zwykle bywa między sąsiadami. – Jutro pójdę – szepnęła dziewczyna, strzepując z siebie chęci spowiedzi tak samo jak śnieg z butów. Ale następny dzień nie nadszedł, gdyż w nocy spadło tak dużo śniegu, iż ugięty pod jego ciężarem dach wprawdzie zaczął jęczeć i zawodzić, a potem z trzaskiem runął w dół. Leżała więc przykryta białym puchem, pobladała, zimna niczym koldra, pod którą została tak brutalnie wepchnięta. I wówczas jej dusza usłyszała znany szelest. Przestraszyła się bardzo i pewnie uciekłaby czym prędzej, ale – jak to bywa zaraz po śmierci – jej kroki były niezdarne jak u nowo narodzonego źrebaka, a myśl o ciele zbyt silna, by móc się spod jej wpływu wyswobodzić.

Tak więc cóż miała czynić? Przysiadła na ramieniu kobiety i tylko jęknęła cicho.

– Jak mi pomożesz, wrócę ci życie – powiedział szelest, który był bardzo kosmaty, miał rogi na czubku głowy i wyglądał nawet dość śmiesznie jak na diabła.

– Och – jęknęła dusza w odpowiedzi.

– Każdemu za plecy zachodziłem, kiedy szedł do kościoła, ale nikt się mnie nie przestraszył, jeno ty się nieswojo poczułaś, ale i tak pomyślałaś, że ślady na śniegu do psa należą, a nie do diabła.

– Och – jęknęła znowu dusza.

– Widzisz, jaki jestem mały? Nie mogę urosnąć, bo tylko ludzki strach sprawia, że ogromnieję. A kiedy go nie ma, to jak ogon bez psa, jajko bez żółtka, dusza bez ciała. W każdym razie jestem tak niepozorny, że ludzie nawet nie potrafią mnie dostrzec. Czasami posłyszysz moje kroki, ale zawsze sobie tłumaczą, że to tylko wiatr, co najwyżej szwendający się kot. Jeżeli złożysz przysięgę, że mi pomożesz, wepchnę cię znowu w ciało i będziesz żyć tak długo, póki nie nadejdzie starość, nad którą władzy nie posiadam.

Dusza kiwnęła główką skwapliwie i uśmiechnęła się, bo bez ciała było jej jakoś dziwnie nieswojo i strasznie. Poza tym nie dziwota, że lubiła to przyjemne, delikatne mrowienie, kiedy dotykała, posiadając jeszcze ciało, przedmiotów, zwłaszcza nowych albo – przeciwnie – starszych od drzew. Niech dziw nie bierze, iż lubowała owo przyjemne łaskotanie w nosie, gdy wachała aromatyczne potrawy i wywary z ziół. A trzeba wiedzieć, że dziewczyna знаła dobrze tajemnice roślin i często skwapliwie korzystała z ich pomocy, chociaż w owych czasach tak łatwo ludzie posądzali o czary kobiety, zwłaszcza ciemnowłose i chude.

Diabeł pstryknął palcami i nagle dach powędrował w górę, stare belki zasklepiły się, a śnieg opadł po dachówkach w dół, na ziemię, tak jak powinien był to uczynić wcześniej. Kobieta otworzyła oczy i wprawdzie ucieszyła się bardzo, potem jednak posmutniała, gdyż nie bardzo chciała być na usługi diabła. Długo rozmyślała nad tym, co by tu uczynić, aż w końcu do głowy wpadł jej chytry pomysł. Zarzuciła na głowę chustę i pobiegła w stronę kościoła. Tym razem nie zatrzymywała się przed jego bramą, lecz szybko weszła do środka, zatraskując drzwi tuż przed nosem zniecierpliwionego diabła, któremu, jak wiadomo, do kościoła wchodzić nie wolno.

– Księżę drogi, pomóż mi, bom z diabłem pakt zawarła i teraz moja dusza

w trzęsączkę taką wpada, niczym nogi kurze siedzące w galarecie, bom przecież nie jest złą dziewczyną. Ot, czasami sobie ziółka warzę, ale tylko w dobrej wierze i po to, by innym pomagać – powiedziała i do nóg ubranego w czarną szatę księdza padła. Ojczulek głową pokiwał, wysłuchał dziewczyny planu, pożałował jej duszy, bo przecież jeszcze stara nie była i dużo dobrego mogła zdziałać, a potem klasnął w dłonie i wyszeptał, że z Bożą pomocą to i diabła można pokonać.

Wieczorem, kiedy kobieta kładła się spać, diabeł przysiadł na jej parapecie i zaczął tak głośno w okno stukać, że musiała je otworzyć.

– Coś ty u księdza robiła? Widzisz moje ręce? Skurczyły się trochę, a przecież miałaś mi pomóc urosnąć. Wróć tu za tydzień. Jeżeli dalej będę mały, wówczas Śmierć wezmę za towarzysza i kary nie unikniesz.

– O nic się nie martw. Za tydzień wszystko się zmieni – rzekła kobieta i, zacierając ręce, co diabeł wziął za dobrą monetę, bo był przecież mały i jeszcze niezbyt mądry, dodała:

– Tymczasem jutro wieczorem idź na cmentarz, gdyż miejsca, które mają w swojej naturze coś mrocznego, łatwiej na ludzką wyobraźnię działają i jakby lęk miały pod pazuchą. Poza tym pogrzeb będzie, a ja ci pomogę żałobników wystraszyć.

Poszedł więc diabeł dnia następnego na cmentarz, a przy tym podskakiwał z radości tak intensywnie i mocno, że nawet może z tego wszystkiego i trochę urósł, bo kot, który zwykle się go nie bał, ba, zerkał nań z pewną pogardą, teraz uciekł i zza drzew jedynie swój lebek wychylał. Ujrzał nasz bies księdza w oddali i zdumiał się bardzo, gdyż ojczulek nad pustym grobem stał i coś pod nosem mruczał, a zadowolony był przy tym, jakby się ozorków dobrze wypieczonych najadł. Zakradł się więc diabeł bliżej, oczy przecierając niepewnie, jakby zaspane były, gdyż widok roztoczył się przed nimi dość osobliwy – żałobnicy w wybornych humorach śmiali się i rozmawiali żywo, jakby nie na pogrzebie byli, jeno na jakiejś biesiadzie wesołej.

Wyskoczył na środek i uczynił groźną minę. Ludzie jednak zamiast się przestraszyć, jeszcze silniej śmiać się zaczęli. Więc podkurczył ogon, zmalal i zasepił się bardzo, bo drwiny nikt nie lubi, a tym bardziej diabeł. I wówczas posłyszał głos kobiety, z którą był pakt zawarł:

– Patrząc jaki mały, jaki bezbronny. Schwytajmy go w sidła, póki ma krótkie nogi i uciec szybko nie potrafi.

Rzucili się więc mieszkańcy Owińsk na diabła, pojмали go i związali, a potem do trumny wrzucili (choć za duża była dla niego), a wieko zabili gwoździami.

– Oto dzisiaj przyszło mi odprawić mszę pogrzebową za diabła – powiedział ksiądz i kazał opuścić trumnę na dno grobu.

W taki oto sposób dziewczyna przechytrzyła diabła, który po dziś dzień w ziemi siedzi i tylko niektórzy powiadają, że w nocy dziwne jęki i skrobienia dobiegają z cmentarza mieszczącego się obok kościoła św. Mikołaja. Kto wie, czy to nie przez te jego harce kościół stoi od lat pusty i nikt w nim mszy świętej od dawna nie odprawia.

Natalia Gilicka

Maruszka



Co to za czasy, że tak łatwo mówi się „kocham”, by zaraz zmienić zdanie? Co to za miłość, jeśli nie jest na zawsze? Czy w dzisiejszych czasach pamiętamy, czym jest to prawdziwe uczucie? To, którego nie przewyżyciły nawet śmierć...

Czasem warto usiąść i pomyśleć o tych, którzy zostawili nam przykład takiego zachowania. A najwięcej opowiedzą nam o tym ciche mogiły, gdzieś w środku najpiękniejszych lasów Puszczy Zielonka. To tam, na skraju dróg znaleźć można ich, złaczonych na zawsze. Kim byli? Skąd przyszli? I dlaczego los tam okrutnie z nich zdrwił? Posłuchajmy...

Dawno, dawno temu na głównym szlaku pielgrzymek do Dąbrówki Kościelnej stała karczma. Różne rzeczy się w niej działy, różni ludzie przybywali. Wiadomo było, że karczmarz ma piękną córkę, o którą bardzo dbał. Niejeden młodzieniec, co się tam zatrzymał, próbował przekonać do siebie właściciela karczmy, który był jednak nieugięty. Widać, inne miał zamiary wobec córki.

Cóż można jednak poradzić na prawdziwą miłość... Pewnego dnia do karczmy przybył pątnik. Ujrawszy Marysię (tak na imię miała córka karczmarza), zakochał się w niej, a ona w nim. Często wędrował on tą drogą, by tylko zamienić z nią parę zdań i ujrzeć

ją. Jednak ojciec był nieugięty i sprzeciwiał się tej miłości. Nadszedł dzień kolejnej jego wędrówki w święte miejsce i Marysia postanowiła uciec razem z nim i oboje poszli na odpust do Dąbrówki, z nadzieją, że u Matki Boskiej wyblągają zmianę zdania ojca.

Niestety, gdy wrócili, był na nich zły jeszcze bardziej. Nie wiedział, że w Dąbrówce przyrzekli sobie w obecności Boga, że nie opuszczą się aż do śmierci. Gdy nie udało im się ubłagać u ojca zmiany zdania, postanowili wyruszyć w las i odebrać sobie życie. Najpierw zabił ją, a później siebie. Ojciec nawet pochować ich nie pozwolił w jednym grobie. Jedynie według zwyczaju pochował ich w miejscu samobójstwa. Jednak nie wie, że duchy kochanków krążą tam do dziś. A pątnicy wędrujący do Dąbrówki pamiętają o nich, dekorują im groby i zapalają świeczki.

Takiej miłości tylko pozazdrościć.

Magdalena Wasilewska

Mieszko I i zbóje

Jak powiadają ludzie, Mieszko I z rycerzami wrócili zmęczeni po bitwie pod Cedynią. Na drugi dzień książę zarządził łowy w Puszczy Zielonce przy Dziewiczej Górze. Wydał rozkaz polowania, a sam poszedł w las, by pomyśleć w samotności o swoich problemach. Idąc tak, wpadł na zgraję zbójów. Było ich z sześćdziesięciu. Hardzi żądali wszystkiego, co miał przy sobie. Gdy oddał pas i miecz, przyszła kolej na róg bawoli.

Mieszko poprosił, by mógł pożegnać się z rogiem i zadął w niego trzy razy. Był to znak umowny dla rycerzy. Wnet przybyli Mieszkowi na pomoc i pojmali wszystkich opryszków. Przejęci strachem czekali na wyrok, sądząc, że na pewno spadną im głowy. A Mieszko tak rozkazał każdemu: w ciągu roku poszukać żony, zbudować domek, stodołę i chlewik dla inwentarza. Dla księcia rąbać drzewo, palić węgiel drzewny oraz pędzić smołę drzewną, a każdego potomka męskiego oddać na służbę do grodu.

Gdy zmarł Mieszko I, krajem władał Bolesław Chrobry. Miał dzielną i waleczną drużynę, dlatego że były w niej „zbójeckie syny”.

Rozalia Zielińska

Opowieść o Dębogórze



Dawno temu, przed wieloma laty,
Wędrował człowiek. Nie miał swej chaty,
Samotnie przemierzał leśne knieje,
Spał pośród drzew, wstawał, nim zadnieje.
Szedł już od wiosny, aż przyszła jesień,
Zimą nie będzie mógł mieszkać w lesie.
Gdy tak wędrował, zobaczył górę,
Drzewa na niej rosły, z nich niektóre
Potężne były, nieba sięgały.
Pomyślał człowiek: widok wspaniały,
Zostanę tutaj, zbuduję chatę.
Już w jego sercu myśli skrzydlate
Miejsce znalazły. I wiedział człowiek,
Że szczęśliwy będzie. Nim ktokolwiek
Tutaj trafi, on rozpocznie nowy ród,
Sprowadzi kobietę, stanie się cud.
To dzięki drzewom, dęby to były,
Szumiały cicho, dały mu siły.
Zbudował chatę i wyposażył,
Dąb dał mu wszystko to, o czym marzył:
Drewno na chatę, na meble, opał,
By było w domu ciepło, gdy słońce,
Pokarm dawały leśnej zwierzynie,
Dzięki dębowi człowiek nie zginie.
Nazwy to miejsce jeszcze nie miało,
Dębowa Góra – będzie wspaniałe.
Jak myślał człowiek, tak też uczynił,

Duszę tchnął w miejsce, w osadę zmienił.
Ludzie tu chętnie się osiedlali,
Znaleźli przystań, nie poszli dalej.
Lata mijały, dęby wciąż rosły,
Przez lato, jesień, zimę i wiosnę.
I choć krajobraz trochę się zmienił,
Znowu jest jesień, a po jesieni...
Czas wciąż ucieka, wciąż inni ludzie,
Dzisiaj nie mówi nikt już o cudzie.
Bo jest po prostu wieś Dębogóra,
Wy tu mieszkacie. Drzewa niektóre,
Cicho jak zawsze, szumią opowieść
O Dębogórze. Stworzył ją człowiek.

Alicja Krawiec

Opowieść o Owińskach i dębie Bartku



Początków naszej wsi nie sięgamy pamięcią,
Choćby się ktoś nawet wykazał szczerą chęcią,
Nie uczyni tego, gdyż dzieje Owińskiej wsi
Sięgają lat dawnych. A jeśli zechcesz ty
Poznać Owińsk dzieje, wykaż się cierpliwością,
Poszperaj w zapiskach, a znajdziesz coś z pewnością,

Co zaciekawi cię, zadziwi lub zaskoczy,
Warto znać historię, może cię zauroczyć.
Pokusiłam się dziś, wierszem trochę przedstawić,
Dawne czasy zbliżyć. Może chętnie zostawisz
Zajęcia domowe, wysupłasz chwilek parę,
Usiądziesz w fotelu, bo wiersz ten jest na miarę
Każdego, kto zechce poznać Owińska inne,
Z odleglejszych czasów, może są wsią rodziną
Twoją lub najbliższych. Dzieciom swoim i wnukom
Zbliżysz obraz Owińsk. Będzie dla nich nauką.

Nad Wartą leżą Owińska, blisko Poznania,
Tam, gdzie płynie „Struga Owińska” od zarania.
Nie znamy dokładnie daty wsi założenia,
Liczy tak około osiemset lat istnienia.
Znacznie wcześniej ten teren też był zamieszkany,
Świadczą znaleziska kiedyś tu odkopane.
Zbudowano klasztor w połowie trzynastego
Wieku, po konflikcie Henryka Brodatego,
Z Księciem Wielkopolskim, Władysławem Odonicem,
O miejsca nazwane wielkopolską dzielnicą.
Gertruda – trzebnicka Ksieni, przywiodła siostry
Cysterki do Owińsk, tej wielkopolskiej wioski,
Której nazwa ponoć wywodzi się od owiec
Tu wypasanych, stąd Owińska zwano Owiens.
Przez wszystkie lata do osiemnastego wieku
Mieszkały cysterki nad Wartą, naszą rzeką.
Bo Warta wciąż płynie, przez stulecia niezmiennie.
My, mieszkańcy Owińsk, widzimy ją codziennie.

Może kilka legend z Owińskami związanych,
Poznaliście kiedyś, we wspomnieniach spisanych.
Z Bartkiem, dębem starym, co rośnie przez stulecia,
Wiąże się opowieść, w tych strofach ją znajdziecie.
Światowid stał w miejscu, gdzie teraz rośnie Bartek,
Chrzest przyjął lud z Owińsk – bożek znalazł się w Warcie.
Mieszko kazał drzewko na miejscu Światowida
Posadzić. Dąb to był, domyślacie się chyba.
Okrutna trąba powietrzna drzewo wyrwała,
Jagiello dąb zlecił sadzić, mocny jak skała.
Rycerz Bartek z puszczy przyniósł drzewko, posadził,
Imię Bartek mu dano, nasz król tak uradził.
Napoleon wiele lat później tu przebywał,

Widział stare drzewo, co Bartek się nazywa.
Do dzisiaj dąb stoi i szumi nam opowieść,
O prastarych czasach, gdy drzewo sadził człowiek.
Mówią ludzie we wsi, że przy dębie wiekowym
Pokutują dusze. O strachu nie ma mowy.
Proszą o modlitwę, dusze praprzodków naszych.
Podziwiającie Bartka. Byłam tam. Nic nie straszy.

Alicja Krawiec

Skrzydlaty rycerz w Owińskach

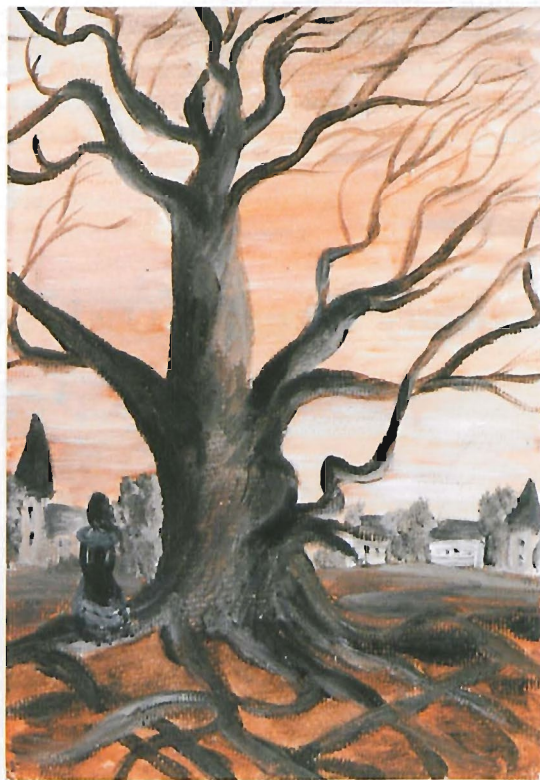


Nie wiem dokładnie, kiedy to się działo... Jak powiadają ludzie – dawno temu, za panowania Mieszka I. W Owińskach, przy kępie drzew rosnących na łące, stał wielki gród. Rządził w nim okrutny rycerz. Miał swoich kamratów, którzy, tak jak on, byli zbrojami. Był tutaj trakt, którym jeździły wozy kupieckie z towarami. Ciągnęły od morza do Poznania, a tam na południe i dalej.

Rycerz ów ze swoimi zbirami napadał, rabował i mordował kupców. Kto się sprzeciwiał, był szczególnie okrutnie traktowany. Drogi zaczęły pustoszeć, ludzie bali się tędy przejeżdżać. Wieść ta doszła do Mieszka I. Zdenerwował się okrutnie i rozkazał swoim wojom przyprowadzić tego zbroja nad zbroje pod sąd. Rycerz walczył ze swoimi kamratami zażarcie, nie chcąc się poddać. Spalono więc cały gród razem z ludźmi jeszcze żyjącymi. Nie udało się zniszczyć zbira, który z płomieni wyleciał na skrzydlatym, czarnym koniu jako duch. Rzekomo do dziś można zobaczyć go latającego w dniu święta zmarłych.

Rozalia Zielińska

Stary dąb w Owińskach



Zacisnęła dłoń na małym zawiniątku, które delikatnie rozgrzewało jej dłoń. Rozejrzała się wokół, schowała swój skarb do kieszeni, którą zrobiła wcześniej w spódnicy i zaczęła kopać. Rozpulchniona deszczem ziemia z łatwością ulegała dotykowi jej rąk. Czerń lepila się do jasnych dłoni, wdzierając pod paznokcie, jakby pragnęła zostać jak najbliższej kobiety, która nie zważając na wszelkie niedogodności, kopała coraz głębiej i głębiej. Nadszedł wieczór, kiedy usiadła zmęczona i przymknęła oczy. Obok niej kuciała dziura. Głęboka, ciemna, milcząca. Kobieta westchnęła, wyrzucając z siebie całe zmęczenie, strach i zniechęcenie, które zwykle dopadają człowieka w tym ważnym momencie, w którym nie ma na nie miejsca. Zacisnęła wargi, a potem uklękła przed dołkiem. Jej dłoń powędrowała do kieszeni, która była teraz dziwnie ciężka i ciasna, jakby chciała stanąć w obronie jakiegoś skarbu. Ale kobieta tylko pokręciła głową i silniej zacisnęła dłoń na zawiniątku, a potem ostrożnie, niemal z namaszczeniem zaczęła rozpakowywać szmatki, w których ukryty był brązowy, lśniący żołędź. Spojrzała nań i zmrużyła oczy. Zdawało jej się bowiem, iż od orzecha tego bije silny i osłepiający blask. Z namaszczeniem, szepcząc jakieś tajemnicze słowa,

których znaczenia zwykły śmiertelnik nie mógłby zrozumieć ani wyjaśnić, uniosła żołędź w górę. Okolice zajaśniała niczym w bezchmurną, księżycową noc, a potem nagle wszystko zgasło. Kobieta cisnęła swój skarb w dołek i tak samo jak wcześniej odkopywała, tak teraz namiętnie ją go zakopywać.

Kiedy rankiem pasterz, mieszkający nieopodal w drewnianej chatce, wyszedł, by paść swoje barany na nadwarciańskich łąkach, ujrzał leżącą na ziemi kobietę. Usta staruszki ułożone były w delikatny uśmiech, kiedy jednak pasterz podszedł do niej bliżej, zrozumiał, że jest to uśmiech przedawniony, wczorajszy, gdyż kobieta musiała umrzeć jeszcze w nocy. „Widać nie cierpiała” – pomyślał i pognął swoje baranki dalej, gdyż śmierć ma to do siebie, że już nie ucieknie i zwyczajnie może poczekać. Wrócił więc dopiero pod wieczór, by pochować kobiecinę, ale ciała staruszki nie odnalazł. Za to w miejscu, gdzie leżała, ujrzał załazek dębu. Zdziwienie jego było wielkie, gdyż znał każde drzewo w tej okolicy, nawet to najmniejsze, i mógłby przysiąc, że wcześniej polana była wolna, gładka, porośnięta jedynie gdzieniegdzie kępami traw. „Pewnie moje oczy już nie tak dobre jak dawniej” – pomyślał i więcej sobie głowy drzewkiem nie zaprzętał. Kilka tygodni później pasterz zobaczył, że dąb zaczyna wyciągać swoje ramiona coraz wyżej i wyżej, jakby chciał dotknąć czegoś, co jest poza chmurami. Zdumienie pasterza było tak ogromne, jak wielkie tylko może być zdumienie, a może i nawet jeszcze większe, gdyż oto ujrzał przed sobą kilka wozów, na których dobytek ich właścicieli kolebał się na boki, jakby kiwał głową potakująco i z aprobatą, gdyż teren, na który zaczęli zjeżdżać osadnicy, był doprawdy piękny, a co ważniejsze, gleba żyzna i jakby drżąca z chęci, by zatopić w niej łopaty.

Im bardziej rozrastał się dąb, tym więcej ludzi w okolicy znajdowało schronienie i dopiero, kiedy również zaczęli zapuszczać swoje korzenie, tworząc niewielką wieś wokół dębu, ten spowolnił swój wzrost, ale tego pasterz nie mógł już zobaczyć, gdyż dawno był zmarł, zaznawszy dość szczęśliwej starości.

A dąb? Stoi w Owińskach po dziś dzień. Przytulony do murów klasztoru nasłuchuje, szumi, ogromnie, jakby chciał swoją koronę rozwinąć nad głowami wszystkich mieszkańców, a korzeniami podtrzymać każdy fundament wybudowanego we wsi domu. Nikt jednak już nie pamięta, skąd się wziął i dlaczego jest tak potężny (nikt też nie ma pojęcia o jego podziemnych rozgałęzieniach, poza oczywiście dżdżownicami i kretami, ale te mówić nie potrafią). „To za jakiegoś króla go posadzono” – szepczą ludzie, bo Czas lubi robić różne psikusy i Prawda dość często chowa się za nim niczym mysz w norce, szczególnie ta naznaczona niezwykłością. I tylko niekiedy jakieś dziecko opowiada, że widzi dziwną staruszkę w długiej do ziemi spódnicy, która przechadza się koło dębu, jakby ten był jej najlepszym przyjacielem. Ale któż da wiarę młodym głowom tak skłonnych do fantazji? Tak więc dąb rośnie, pęcznieje, a wieś wokół niego trwa tak samo jak on, niewzruszona, spora, z ulicami rozgałęziającymi się niczym konary...

Baśń o Dziewiczej Górze



Dawno temu, nikt nie pamięta dokładnie, kiedy to się działo, na Dziewiczą Górę najechali Brandenburczycy. Polacy pod wodzą księcia dzielnie się bronili. Były to czasy, gdy mnóstwo było magów i czarodziejów. Wśród wrogów był jeden, który wiedząc, że polski książę wygrać może, zamienił go w olbrzymiego niedźwiedzia. Na domiar złego strzałą przebił mu prawą łapę. Zamiast walczyć, oszukany młodzian z rykiem bólu uciekł, chroniąc się w borze.

Ów czarodziej ogłosił, że księcia tylko dziewica uratować może. Jednak do tak gęstego lasu mało kto się zapuszczał ze strachu przed zwierzętami i zbójcami. Niedźwiedź cierpiał, łapę lizał, ale strzały wyjąć nie mógł. Trwało to wszystko kilka miesięcy. W lipcu, kiedy dojrzały jagody, wysłała matka swą córkę Jagnę do lasu po te owoce. Dziewczyna była bardzo piękna, zabrała wiaderko, zawołała psa Burka i poszła. Zbierając jagody, zaszła dość daleko, gdy usłyszała ryk zwierza. Nie wiedziała, co to było. Wystraszona, oglądając się za siebie, zobaczyła ranne zwierzę, które jakby ją błagało o pomoc. Podbiegła, złamała strzałę, obmyła mu łapę i chustą zawinęła. Miała już odejść, gdy niedźwiedź zmienił się w rycerza. Opowiedział jej swą historię i o rękę poprosił. Po hucznym weselu żyli długo i szczęśliwie.

Rozalia Zielińska



Europejski Fundusz Rolny na rzecz
Rozwoju Obszarów Wiejskich



Program
Rozwoju
Obszarów
Wiejskich
na lata 2007-2013

Publikacja współfinansowana ze środków Unii Europejskiej w ramach osi 4 Leader
Działanie 4.31 Funkcjonowanie lokalnej grupy działania, nabywanie umiejętności i aktywizacja
Program Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2007-2013 Europejski Fundusz Rolny na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich,
Europa Inwestująca w obszary wiejskie Instytucja Zarządzająca PROW 2007-2013 Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi

C.
czerwonak
zobacz więcej



Gminna
Biblioteka Publiczna
w Czerwonaku

CZERWONAK 2014